

Trzecia wieczorem. Piszę samotnie w ciszy rozdartej blaskiem świecy. W pokoju pachnie cynamonem i czarnym, jak noc atramentem, który nie chce sklejać się w żaden sensowny tekst. Słodki zapach lechta mile zmysł powonienia i sprawia, że czuje się głodny na myśl o plackach, które kilka godzin temu jadłem. Po kolacji pozostał tylko ślad w formie porośniętych tłuszczem talerzy i butelki czerwonego wina – sprawcy plam na ostatnich kartkach pergaminu, jakie posiadam. Papier i stół pokryty kroplami taniego bożole wygląda niczym sceneria do kiepskiego filmu grozy, ale nie dbam o to. Posprzątałem później. Najważniejsze, by przyszła Erato. Tylko na nią czekam. Tylko jej dziś pragnę. Niestety, Erato zawiodła mnie. Zamiast niej pojawił się na parapecie spasiony kot barwy węgla, który miauczeniem zaczął domagać się, a bym go wpuścił do środka. Parszywe bydlę – pomyślałem. Będzie mi koncerty pod oknem urządzał. Spróbowałem zignorować nocnego gościa, lecz zwierze było metodyczne. Niczym zacięta płyta gramofonu powtarzało: miauu! kręcąc się po parapecie. Zirytowany otwarłem okno i spojrzałem w ciemność. Chłostane wiatrem wierzby pochylały się na boki i garbiły pod strugami wody ciekącej z nieba. Chodź przyjacielu – powiedziałem, wpuszczając kota do pokoju. Zwierzęcia nie trzeba było zapraszać, szybko wślizgnęło się do pomieszczenia. Zamknąłem delikatnie butwiejące okiennice bojąc się, by nie rozsypały się w pył, po czym wróciłem do pisania zostawiając gościa własnemu losowi. Minuty mijały, a wena nie przychodziła. W pół do czwartej byłem przekonany, że mój list miłosny nie zostanie ukończony dzisiejszej nocy. Nic, będę się musiał wstrzymać jeszcze trochę ze swoimi amatorami – pomyślałem, zwijając w rulon płachty pergaminu. Schowałem papier, tusz i gęsie pióro do szuflady, zgasilem świecę, po czym ruszyłem po omacku w stronę sprężynowego łóżka. Chwilę później ległem skonany na wygniecionym materacu. Obok mnie spał futrzany osobnik, o którym kompletnie zapomniałem. Ciekawe, jak cię zwą koleżko? – zamysliłem się i pogłaskałem kota. Ku mojemu zdziwieniu, pod palcami, wyczułem coś twardego. Obroża? Dziwne, nie zauważyłem jej wcześniej... Wyciągnąłem z kieszeni spodni PDA i skierowałem emitowany

przez urządzenie snop światła w stronę zwierzęcia. Istotnie, kot miał obrożę. Ba, była do niej nawet dołączona przywieszka. Poświeciłem bliżej. Na metalowej blaszce widniał napis. Zbliżyłem urządzenie na tyle blisko, by móc odczytać inskrypcję, i przeliterowałem:

M – E – F – I – S – T – O – T – E – L – E – S

W gardle zaschło mi z wrażenia, a żołądek zaczęła wypełniać wielka gula, która rosła z zatrważającą szybkością. Poczułem się tak, jakby ktoś uderzył mnie w głowę gigantycznych rozmiarów młotem. Wróciły wspomnienia sprzed dwóch lat. Przed oczami, jak w kalejdoskopie, przesuwały się kolejne obrazy z przeszłości: ogromne granity, rozbite PDA, wykrzywione szatańskim grymasem twarze i światła Hangaru w oddali – tak bliskie, a zarazem tak dalekie.

Tej nocy Zona oddychała ciężko i niespokojnie. Śniły się jej koszmary, w których królowały demony, a my postanowiliśmy ją obudzić wkraczając w jej najbardziej intymne tereny. Zapłaciliśmy za to najwyższą cenę... Czerwony Las nas styranizował i zdeptał. Wycieńczeni, ściągani przez nocne służki zła, uciekaliśmy na oślep, aż natrafiliśmy na zwałowisko kamieni, które miało być naszym schronieniem. Dla Witka okazało się grobem, nie przeżył tej nocy... Zmarł wewnątrz niewielkiej komnaty, która utworzyła się pod spiętrzonymi głazami. To pod nie wczółgaliśmy się próbując ocalić życie. W objęciach skał postanowiliśmy doczekać dnia. Szybko okazało się jednak, że Witek odniósł poważniejsze rany, niż nam się na początku wydawało. Obandażowałem zranione miejsca, podałem leki, lecz nic nie mogło zatrzymać infekcji. Nie mieliśmy odtrutki na wprowadzony do organizmu wirus. Nikt jej nie miał. Wątpię, czy nawet istniała. Poczułem się bezsilny. Postanowiliśmy wezwać pomoc przez PDA. Bezskutecznie. Moje urządzenie gdzieś zniknęło. Aparat kolegi, choć funkcjonował, był bezużyteczny. Potrzebny, ledwo reagował na bodźce i co chwilę zawieszał się lub gubił obraz. Witek zamachnął się i rzucił nim ze złością o ścianę. Siedzieliśmy tak po ciemku w milczeniu, zrezygnowani, zmarznięci i pokonani. Za kilka godzin miał się rozegrać dramat, o którym nawet nie chcieliśmy myśleć.

*„Niech fantastycznie lutnia nastrojona
Wtóruje myśli posępnej i ciemnej;
Bom oto wstąpił w grób Agamemnona,
I siedzę cichy w kopule podziemnej,
Co krwią Atrydów zwalana okrutną.
Serce zasnęło, lecz śni. – Jak mi smutno!”*

Powiedział Tokarczuk, przerywając posępną ciszę. Uśmiechnąłem się i spojrzałem w stronę niewielkiego otworu pomiędzy kamieniami, przez który wpadał do wnętrza jaskini blask księżyca.

- Niezwykle trafne określenie sytuacji – skomentowałem dobrze mi znany fragment. – Szkoda, że cytujesz go w tak fatalnym dla nas położeniu. - Poezja nie wybiera czasu, ani miejsca. Po prostu jest, towarzyszy nam każdego dnia. Pamiętasz, jak się poznaliśmy? Jakimi słowami mnie przywitałeś? - Pamiętam – odpowiedziałem, przypominając sobie wiosenny wieczór 1988 roku. W tle Wawel, przed nami rozplywające się w tafli Wisły, niczym impresjonistyczne malunki, światła lamp biegnących wzdłuż Konopnickiej. I my: ja, Witek, Marzena i Basia. Dwie pary zakochanych, które obrały sobie za miejsce romantycznej randki tą samą ławkę w parku pod siedzibą królów. Po krótkim zapoznaniu piliśmy wspólnie bułgarską Sofię i dyskutowaliśmy nad sensem życia wpatrując się w migoczącą złotem wodę. Marzena i Basia dawno nas zostawiły, ale przyjaźń z Witkiem przetrwała. Razem zdawaliśmy na Uniwersytet Jagielloński, razem zarywaliśmy noce i szliśmy na wykłady pijani jazzem, który łapczywie chłonęliśmy w Jamie Michalika. Wspólnie czytaliśmy Grę w klasy Cortazara, wspólnie omawialiśmy nieskończoną ilość razy Fausta. Wspólnie wyjechaliśmy też do Czarnobyli po zakończeniu studiów. I to był chyba największy błąd. Gdyby nasze drogi rozeszły się, może Witek by żył do tej pory. Może...

By zapobiec transformacji mój przyjaciel strzelił sobie w głowę o trzeciej nad ranem. Pamiętam tą scenę do dziś. Zmarł z uśmiechem na ustach wypowiadając przed śmiercią swe ulubione słowa: "Trwaj chwilo, jesteś piękna". Takiego właśnie zapamiętałem Witka. Uśmiechniętego chłopaka, który nigdy się nie poddawał i zawsze czerpał z życia garściami.

Retrospekcja skończyła się niczym taśma filmowa zerwana nagłym pociągnięciem ze szpuli. Zaspanym wzrokiem omiotłem pokój. Czarnego jak węgiel kota nigdzie nie było. Przede mną stała Anuszką, moja miłość, i budziła mnie.

- Wstawaj Bogdan. Walerian cię wzywa. Ma dla ciebie jakieś nowe zadanie. - Pakuj się, wyjeżdżamy stąd! Śnił mi się Witek – powiedziałem roztrzęsiony. - Ale gdzie chcesz jechać? – zapytała zdumiona kobieta. - Nie ważne. Byłe dalej od tego przekłętego miejsca. Tu czeka na nas tylko śmierć...

Pół godziny później mijaliśmy ostatnie posterunki w Kordonie skryci pod plandeką wojskowego samochodu. Obejmując czulę Anuszkę byłem pewien, że sen, który mi się przyśnił, był znakiem od Witka. Parę dni potem dowiedziałem się, że wioska, w której mieszkałem, została zrównana z ziemią. Odwiedzili ją Królowie Nocy...